

Monika Gabriela Bartoszewicz: Europa rozbita o skaliste brzegi Rosji

Przyczyną obecnego stanu rzeczy jest jednokierunkowość politycznego myślenia Europy



Przyczyną obecnego stanu rzeczy jest jednokierunkowość politycznego myślenia Europy

Pytano się mnie przed kilkoma dniami w studio Telewizji Republika, czy naprawdę nie wierzę, że kijowski Euromajdan wpłynie pozytywnie na rozwój sytuacji na Ukrainie. Czy nie wydaje mi się, że te tysiące ludzi, pokojowo nastawionych, śpiewających, skaczących, machających dziarsko flagami w żółto-niebieskich barwach nie będą w stanie sprawić, że Janukowycz zmięknie, Putin się wycofa, Unia tupnie nogą a świat znów będzie mógł ze wzruszeniem odnotować kolejne

zwycięstwo demokracji (tak, jakby demokracja naprawdę polegała na tym, że ludzie gromadzą się na placach). Jak gdyby tylko cynik i skończony defetysta mógł zakładać taki czarny scenariusz, w którym nie będzie UEkrainy. A taki scenariusz nie jest wytworem pesymizmu politycznego, tylko zwyczajną konsekwencją starej jak sama Europa, rozgrywki pomiędzy tym, co nazywamy Zachodem, a tym, co Wschodnie.

Przyczyną obecnego stanu rzeczy jest jednokierunkowość politycznego myślenia Europy pomieszana z jej polityczną krótkowzrocznością. W pewnym sensie można powiedzieć, że Europa po raz kolejny rozbija się o skaliste brzegi Rosji i po raz kolejny jest tym faktem niepomernie zadziwiona. Jak gdyby Rosji miało nie być tam, gdzie się od wieków znajduje i jak gdyby miałyby być inna, niż od wieków jest.

Owa jednokierunkowość polityczna Europy opiera się na tym, że negocjatorzy unijni jeździli na Ukrainę nie po to, żeby kraj ów dla Europy pozyskać, ale po to, żeby mu zrobić łaskę. Żeby oferować zaszczyt jakim jest chęć zawarcia umowy stowarzyszeniowej. Jeździli pomachać Ukrainie przed nosem tłustą kiełbasą pełnego zjednoczenia, jeśli tylko Azor będzie grzeczny (siad, piesku!). Unijna perspektywa polityczna przypomina ulicę jednokierunkową i kształtuje się w oparciu o głęboką wiarę w to, że każde państwo pragnie wstąpić w szeregi elitarnego klubu spod znaku dwunastu żółtych gwiazd. To właśnie przekonanie określa i determinuje unijną politykę negocjacyjną.

Rosja, przyszła na Ukrainę jak po swoje. to jest kraj, który w polityce zagranicznej kieruje się prostą zasadą, głoszącą że z raz wywalczonej strefy wpływów Rosja z własnej woli się nie wycofuje. Zakładanie, że wraz z rozpadem Związku Radzieckiego, Ukraina przestanie być uważana za strefę wpływów rosyjskich, jest wyrazem krótkowzroczności, jeśli nie wręcz astygmatyzmu politycznego. Samo

to stawia ukraińskie przystąpienie do wspólnoty europejskiej pod znakiem zapytania. Co zatem powiedzieć, jeśli się weźmie pod uwagę całą złożoność sytuacji wewnętrznej w tym kraju oraz jego historyczne, geograficzne i kulturowe rozdarcie pomiędzy Wschodem a Zachodem?

Paradoksalnie, ale też makiawelicznie, wychodzę z założenia, że obecna sytuacja nie jest dla Polski tak tragiczna, jak można by to uznać czytając posty ministra Sikorskiego na twitterze. Stwarza ona dla Polski ogromny margines działania i daje okazję umocnienia swojej pozycji w regionie. Oczywiście do tego potrzebny byłby rząd posiadający własną wizję polityki wschodniej oraz rozumiejący, że rozgrywki międzynarodowe nie rozgrywają się (bardzo mi przykro panie ministrze!) w mediach społecznościowych. Biorąc pod uwagę to, że dla Polski Lwów ma dokładnie takie samo znaczenie, jak dla Rosji Kijów, powinna teraz Polska zaangażować wszystkie swoje siły na wschodzie. I to nie szarżując w imię priorytetów formułowanych w Brukseli, ale w imię interesów własnego państwa. Ale do tego potrzeba zerwać z polityką uprawianą na azymut Moskwa, która zakłada, że w sprawach wschodnich, albo należy siedzieć cicho, albo się ze wszystkim z Rosją zgadzać, bo inaczej strach wsiadać do samolotu.

Monika Gabriela Bartoszewicz

Tekst ukazał się na portalu Rebelya.pl